TYGODNIK POLSKI
THE POLISH WEEKLY

DZIŚ W NUMERZE:
Anonimowy poeta Polski Podziemnej, Władysław Broniewski, Arkady Fiedler, Witold Hulanicki, Zygmunt Karpiński, Melchjor Wańkowicz.

Vol. 2. Nr. 6)58(Nowy Jork, 6 lutego — New York, 21 N. Y., February 6, 1944 Cena 15 ct.

Dlaczego niczego nie możemy ustąpić

Jest już dziś jasne, że Rosja nie ma najmniejszego zamiaru rokować z rządem naszym w Londynie i przygotowuje rząd od siebie zależny, zapowiedziany jawnie w New Yorku przez stypendystę Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej p. Penzika.

Podobno Stalin oświadczył z westchnieniem w Teheranie, że gdyby znalazł w Polsce kogoś takiego jak jest p. Passaikivi w Finlandji — to spór polsko-rosyjski mógłby się bez większych trudności załatwić. Mówiąc poprostu, Stalin chce rozmawiać tylko z rządem, który zgodzi się oddać mu pół Polski i tylko taki rząd uzna za legalny. Oto gdzie jesteśmy po czterech latach męczeństwa Polski, w czasie których nietylko że Rosja, w początku wojny sprzymierzona z Hitlerem, uznana została za bojowniczkę demokracji, ale również Włochy zostały przyjęte do obozu Aljantów, przyczem nie słyszeliśmy, aby zamierzano im coś odebrać. Zdawałoby się, że przebrana została wszelka miara rosyjskiego zuchwalstwa, że cały świat zrozumie wreszcie, że Stalin kpi sobie w żywe oczy z Anglji i z Ameryki, próbując przez coraz nowe prowokacje do czego jeszcze można się względem nich posunąć; zdawałoby się z oświadczenia p. Edena, że czujność angielska została wreszcie obudzona.

Nie należy się oddawać owym błogim złudzeniom i trzeba patrząc prawdzie w oczy, zdawać sobie sprawę, że jeżeli stajemy się stanowczo coraz bardziej atutem w zarysowującej się grze dyplomatycznej wielkich mocarstw, rezultat tej gry zależy od naszej czujności, od naszej stanowczości, od naszej polityki, której nakaz w tej chwili jest tylko jeden — niczego nie ustąpić.

Są ludzie w Anglji i w Stanach Zjednoczonych, którzy chcą w nas wmówić, że musimy ustąpić przed Rosją, ponieważ Rosja jest silna.

Otóż przedewszystkiem Rosja nie jest silniejsza od Anglji i Stanów — tylko one nie używają tej siły.

Jesteśmy wbrew owym doradcom zdania, że ustępować nie należy dlatego przedewszystkiem, że nie należy ustępować przed siłą, dlatego, że miljony naszych braci, nietylko naszych braci Polaków, ale naszych braci Amerykanów, Anglików, Jugosłowian, Francuzów giną poto, aby wyzwolić świat od przemocy, nie zaś aby zamienić jedną przemoc na drugą.

Byłoby zaiste dumać nad czem wśród miljonów mogił poległych i zamordowanych, gdybyśmy pokonawszy Hitlera mieli oddać pół Europy w inne jarzmo.

Rosja, wyzywając Anglię i Amerykę, stawiając Polsce niczem pokonanemu wrogowi haniebne warunki t. zw. porozumienia, dąży wyraźnie do tego, aby właśnie ta zasada, ta hitlerowska, totalistyczna, zaborcza zasada, że siła jest jedynem prawem, że przed siłą muszą ustępować, sprawiedliwość, prawo i wolność, została niejako uświęcona, aby się pod nią podpisały Stany Zjednoczone i Anglja i aby Polska podpisując ją, podpisała na siebie wyrok śmierci. Politycy i dziennikarze londyńscy i nowojorscy, którzy wodzą palcem po mapie, szukając jakiejś linji Curzona i którzy głowią się nad jakimś kompromisem, mogącym zadowolić rzekome interesy rosyjskie, powinni zrozumieć wreszcie, że Rosja nietylko nie ma żadnych praw do ziem polskich, ktre zrabowała do spółki z Hitlerem, ale że niema absolutnie żadnych interesów do wygrania w owym rzekomo granicznym sporze i że ten spór nie idzie o żadne granice, tylko o zniszczenie całej Polski i o uzyskanie na jej trupie wspólnej granicy z Niemcami.

Mówić o pretensjach kolosa rosyjskiego do tylokroć od niego mniejszej Polski, o zagrożeniu tego kolosa przez Polskę, można tylko wśród szalejącej dziś bezmyślności, wśród katastrofalnej bezradności wobec wszystkiego, co jest dziś zuchwalstwem i agresją.

Moskwa ma na swem olbrzymiem terytorjum wszystko czego zapragnie jej obywatel, a jeżeli temu obywatelowi czegoś brakuje, to napewno nie Lwowa i Wilna, tylko tego czego mu sam jego rząd wzbrania. Wszystkie żądania Rosji do nas skierowane, to nie są warunki rozmów, tylko akta agresji takie, jakie Katarzyna stosowała wobec Stanisława Augusta, albo Hitler wobec Austrji czy Czechosłowacji. Wszelka dyskusja z temi warunkami byłaby nie dowodem dobrej woli wobec Rosji, których daliśmy bez miary, ale niepojętą kapitulacją, tembardziej niepojętą, że za nami stoi zarówno prawo formalne, jak nigdy nie dość przez nas wyzyskane doskonałe prawo moralne nabyte przez czteroletnią wspaniałą jawną i podziemną walkę ze wspólnym naszym i naszych sojuszników wrogiem.

Dlatego rząd polski nie może iść na żadne absolutnie ustępstwa, nie może ustąpić ani kawałka polskiej ziemi, ani kawałka pińskiego błota, bo te ustępstwa byłyby podważeniem naszych praw i samej zasady, na której wsparta jest nasza niepodległość.

ZYGMUNT KARPIŃSKI

Międzynarodowa współpraca walutowa

(OBECNY STAN DYSKUSJI)

W kwietniu ub. r. rządy amerykański i angielski ogłosiły nieoficjalne projekty powołania do życia międzynarodowej organizacji, mającej na celu koordynację wysiłków w zakresie współpracy walutowej. Projekty te, których zasadnicze postanowienia były swego czasu omówione na łamach "Tygodnika Polskiego" (Nr. 17 z 2-go maja 1943 r.), mają w szczególności na celu: stabilizację kursów poszczególnych walut, przeciwdziałanie wahaniom kursowym, ustalenie postępowania w wyjątkowych wypadkach, gdy konieczność zmiany kursu zostanie uznana, oraz stworzenie mechanizmu kredytowego i płatniczego, zapewniającego poszczególnym państwom zagraniczne środki płatnicze w takich rozmiarach aby obroty handlu zagranicznego nie były narażone na zbytnie skrępowanie.

Ogłoszone plany były latem ub. r. przedmiotem konferencji przeprowadzanych przez Treasury amerykańskie z przedstawicielami kilkunastu państw; w jesieni odbyły się następnie dasze rozmowy z Lordem Keynes'em, autorem planu angielskiego, mające na celu wyrównanie różnic między obu planami. Niedawno sekretarz skarbu Morgenthau, oświadczył, że rozbieżności między obu planami zdołano znacznie zmniejszyć i że istnieje nadzieja, że w bliskim czasie będzie mogła być zwołana międzynarodowa konferencja, któraby mogła przyjąć zasady współpracy monetarnej. Podobnie optymistyczne oświadczenia były przez przedstawicieli Treasury składane już uprzednio kilkakrotnie, niemniej jednak przewidywana data konferencji była parę razy odraczana, tak iż istotnie trudno przewidzieć kiedy zamiar ten zostanie naprawdę zrealizowany.

Nasuwa się w tym stanie rzeczy pytanie, jakie mianowicie powody wpłynęły na to, że tak doniosłe zagadnienie, będące jednym z kluczowych fragmentów powojennej współpracy gospodarczej, nie doznało dotychczas prędszego i bardziej pomyślnego załatwienia, mimo, że już oddawna było przedmiotem wszechstronnej dyskusji i analizy.

Dość wyraźną odpowiedź na to pytanie dają liczne wypowiedzi, jakie zostały ostatnio ogłoszone ze strony wszystkich niemal najpoważniejszych przedstawicieli nauki, ekonomicznej oraz publicystyki, organizacji gospodarszych i zainteresowanych polityków. Wypowiedzenia te pozwalają stwierdzić, że w dyskusji tej zatarły się do pewnego stopnia różnice między obu planami, natomiast zakwestjonowano niektóre najbardziej podstawowe zasady wspólne obu planom. Ujawnione poglądy można najlepiej streścić w takiej oto kontrowersyjnej rozmowie:

Obrońca projektów: Musimy stworzyć podstawy dla jaknajprędszego wznowienia międzynarodowej wymiany gospodarczej zaraz po ustaniu akcji wojennej. W tym celu musimy przedewszystkiem zapewnić stałość kursów poszczególnych walut, aby uniknąć podobnego chaosu w dziedzinie pieniężnej, przez jaki świat przechodził w latach 1918-1923.

Krytyk: Tak postawione zadanie wydaje się zbyt trudne do wykonania. Przebieg wojny wywołał tak ogromne przeobrażenia, zarówno w wewnętrznej gospodarce wszystkich państw, jak i w układzie międzynarodowej wymiany, że dopiero po dłuższym czasie będzie można doprowadzić do względnej chociażby równowagi bilansów płatniczych, bez której nie można myśleć o utrzymaniu stałości kursów poszczególnych walut. Czeka nas z konieczności okres "trials and errors", zanim zdołamy wypośrodkować właściwy poziom kursowy poszczególnych walut, na którym to poziomie stabilizacja będzie możliwa.

Obrońca: Obawy te są tylko częściowo słuszne, i zostały w dużym stopniu uwzględnione, gdyż zrewidowany plan amerykański przewiduje trzyletni okres przejściowy, w którym będzie można stosunkowo łatwo przeprowadzić zmiany kursowe, uznane za konieczne. Niezależnie od okresu przejściowego musimy jednak stworzyć zasadniczy system międzynarodowy, który miałby na celu utrzymanie stałych relacji kursowych między poszczególnemi walutami. Bez tego bowiem, nie da się pomyśleć ani rozwój obrotów w handlu międzynarodowym, ani też wznowienie międzynarodowego ruchu kapitałów.

Nie wystarczy czytać "Tygodnik Polski" — należy go prenumerować!

Krytyk: Teza taka budzi pewne wątpliwości. Nałożenie na poszczególne państwa bezwzględnego obowiązku utrzymania stałego parytetu pieniądza zmusi je do prowadzenia odpowiedniej polityki pieniężnej, handlowej i ogólno-gospodarczej. Doświadczenia ostatnich lat przed wojną uczą nas, że państwa uważające utrzymanie stałego kursu pieniądza za najwyższy cel, uciekały się do wprowadzenia poityki deflacyjnej, lub też do ograniczeń importowych i reglamentacji dewizowych. W rezultacie polityka taka doprowadziła raczej do skurczenia międzynarodowej wymiany. Natomiast pewna elastyczność kursów jest właściwym środkiem dla przywrócenia zachwianej równowagi bilansu płatniczego i bynajmniej nie należy zgóry rezygnować z możności stosowania tego środka. Doświadczenie Anglii po odstąpieniu od waluty złotej, są przez wielu ekonomistów uznane za dodatnie i zachęcające.

Obrońca: To też omawiane plany bynajmniej nie wykluczają w sposób bezwzględny wszelkich zmian kursu. Ustalają one jedynie, że zmiany nie mogą być przeprowadzane na podstawie jednostronnych decyzji poszczególnych państw, lecz gdy okażą się uzasadnione — mogą być dokonane na podstawie uchwały projektowanego międzynarodowego organu.

Krytyk: Czy nie jest to jednakże zbyt daleko posunięta ingerencja w „suwerenność" państw poszczególnych w tak doniosłej dziedzinie gospodarczej? Czy możemy decyzje w tej sprawie oddać organowi międzynarodowemu, zanim również w innych dziedzinach nie zostaną zbudowane podstawy współpracy międzynarodowej, a więc przedewszystkiem w dziedzinie czysto politycznej?

Obrońca: Oczywiście, jednem z założeń, który przyświecało autorom planów, było przeświadczenie, że zagadnienia polityczne np. zapewnienie zbiorowego bezpieczeństwa, zostaną równolegle pomyślnie załatwione. Wróćmy jednak do spraw finansowych. Omawiane projekty mają — niezależnie od postulatu stabilizacji — jeszcze i inny cel: chodzi o zapewnienie poszczególnym państwom dodatkowej ilości zagranicznej siły nabywczej w postaci odpowiedniej wysokości kredytów zagranicznych, reglamentacji dewizowej lub ograniczeń w wymianie towarowej z zagranicą.

Krytyk: Teza ta zawiera w sobie

pewne niebezpieczeństwo. W pierwszych latach po wojnie, zapasy towarowe na całym świecie będą wyczerpane. Świat cały będzie raczej cierpiał wskutek dotkliwego braku wszelkiego rodzaju dóbr materialnych a bynajmniej nie wskutek braku siły nabywczej. Wzmożenie siły nabywczej poprzez operacje kredytowe, przyczyni się do powiększenia trudności, a mianowicie do zwiększenia dysproporcji między małą podażą towarów a dużym popytem na nie. Omawiane projekty zawierają w sobie niepożądane i nadmierne tendencje inflacyjne w skali ogólno-światowej. Na inflację wewnętrzną, którą dziś obserwujemy we wszystkich państwach, nakładają dodatkową inflację międzynarodową.

Obrońca: Zachodzi tu nieporozumienie. Nawet, gdybyśmy przyznali, że ogólna ilość potencjalnej siły nabywczej (w postaci złota i krótkoterminowych należności zagranicznych) jest znaczna, to jednak rozmieszczenie jej wśród poszczególnych państw jest niewłaściwe. Projektowany mechanizm ma właśnie przyczynić się do bardziej właściwej repartycji istniejących zapasów złota lub dewiz, udostępniając te wartości tym właśnie państwom, które najbardziej ich będą potrzebowały a dysponują niemi w niedostatecznych ilościach.

Krytyk: Jest to raczej zagadnienie, dla którego rozwiązania nie wystarczy międzynarodowy fundusz stabilizacyjny, ograniczony z konieczności do udzielania przejściowych kredytów krótkoterminowych. Zadanie to mogłoby być spełnione tylko przez zapewnienie tym państwom długoterminowych kredytów o charakterze inwestycyjnym.

Obrońca: Oczywiście. Dlatego też ostatnio Treasury amerykańskie — niezależnie od projektu funduszu stabilizacyjnego ogłosiło projekt międzynarodowego banku, o kapitale 10 miliardów dolarów, którego zadaniem byłoby właśnie udzielanie długoterminowych kredytów państwom, których rozwój gospodarczy wymaga dopływu zagranicznych kapitałów inwestycyjnych.

Krytyk: Z obecnego układu stosunków wynika, że jedynie Stany Zjed. mają dane na to, aby być przodującym, czy może wogóle jedynym krajem wierzycielskim, t. j. udzielającym kredytów. Czy jednak nie należy inicjatywy w tej dziedzinie pozostawić w rękach prywatnych? Przesunięcie zagadnienia kredytów na płaszczyznę między-rządową może stworzyć nowe pole tarć politycznych i utrudnić —zamiast ułatwić—współpracę międzynarodową. A pozatem: Jeżeli Stany Zjedn. będą istotnie jedynym krajem wierzycielskim, to mogą pożądanych kredytów udzielać same, bez organizacji o formie międzynarodowej.

Obrońca: Czy forma taka, mimo wszystko, niema jednakże dużych zalet, chociażby dla uniknięcia zarzutu o grożącym "imperialiźmie" gospodarczym ze strony Ameryki?

Krytyk: Nasuwają się tu jeszcze dalsze wątpliwości. Czy właściwą jest metoda, aby tak skomplikowane zagadnienie starać się rozwiązać w gronie 40-tu narodów zjednoczonych, o tak różnym znaczeniu i sile gospodarczej? Należałoby przystąpić do rozwiązania kluczowego zagadnienia, przedewszystkiem między dwoma przodującymi krajami, t. j. Wielką Brytanią a Stanami Zjedn., ustabilizować kurs funta w stosunku do dolara, a gdy tego dokonamy, to pozostałe kraje będą mogły bez większych trudności przyłączyć się później do tej współpracy.

Obrońca: Zasada współdziałania wszystkich państw winna być zrealizowana od początku we wszystkich dziedzinach, a zatem i w tej dziedzinie techniczno-gospodarczej, skoro pragniemy ją stworzyć także w dziedzinie politycznej. Gdyby pozostałe państwa nie zostały włączone do współpracy odrazu w pierwszym okresie, to łatwo zarysować się może niebezpieczeństwo skierowania ich na drogę jednostronnych postanowień, lub nawet polityki dążącej do autarkji.

*

Tego rodzaju argumenty i kontrargumenty możnaby przytaczać jeszcze długo. Ważniejszem jest jednak stwierdzenie, że przedstawiciele amerykańskiej Treasury są w obronie projektów dość odosobnieni i znaleźli się raczej w pozycji defensywnej. Natomiast przedstawiciele amerykańskiego świata gospodarczego są prawie bez wyjątku, po stronie krytyków projektów. W szczególności przedstawiciele prywatnej bankowości amerykańskiej ustosunkowali się negatywnie do projektów, dając krytycznemu stanowisku wyraz przez usta prezesów wielkich banków nowojorskich, w publikacjach tych banków oraz w rezolucjach American Bankers Association. Wolny dolar, nieskrępowany w obrotach żadną reglamentacją i wymienialny na złoto, winien być w myśl tych poglądów podstawą międzynarodowych stosunków pieniężnych.

Pozatem ze strony niektórych banków wysuwany jest postulat, aby przedewszystkiem zapewnić stałość kursu funta w stosunku do dolara. W myśl tego założenia Ameryka powinna udzielić Anglii wielkiej pożyczki, umożliwiającej odmrożenie zablokowanych funtów ang., zliberalizowanie reglamentacji dewizowej i uzdrowienie angielskiego bilansu płatniczego. Podług tego poglądu sanacja funta ang. jest "problemem Nr. 1" powojennych zagadnień finansowych.

Interesującą była reakcja przodującego londyńskiego pisma gospodarczego "The Economist" na tę tezę. Odpowiedziało ono, że „problem Nr. 1" jest przedewszystkiem zagadnieniem dolara, a bynajmniej nie zagadnieniem funta. Zanosi się bowiem na to, że po wojnie w większym jeszcze stopniu niż to miało miejsce w ostatnich latach przed wojną, świat odczuwać będzie brak dolarów. Dojście do równowagi między poszczególnymi obszarami gospodarczymi, może być dokonane zasadniczo tylko przez zaspokojenie tego braku, co może nastąpić dwiema drogami; szeroką akcją kredytową ze strony Stanów Zjedn., stwarzającą dostateczną podaż dolarów na rynkach międzynarodowych, lub też przez liberalną politykę handlową, dopuszczającą zwiększenie dowozu towarów do Stanów i dającą w ten sposób światu zewnętrznemu dostateczną ilość dolarów. Dopóki nie zostanie wyjaśnione, czy Ameryka gotowa jest wejść na tą drogę, nie będzie podstaw do pożądanej równowago w gospodarce światowej a zatem również nie będzie podstaw dla stworzenia właściwego międzynarodowego mechanizmu pieniężnego.

W jakikolwiek sposób oceniać przytoczone wyżej argumenty obu stron, należy podkreślić, że — jak w tylu innych zagadnieniach, tak i w tej sprawie — decydującem będzie stanowisko Kongresu. A z tej strony nie odezwały się jeszcze głosy, które mogłyby upoważniać do optymistycznego poglądu.

W POPRZEDNIM (57-mym) NUMERZE „TYGODNIKA POLSKIEGO":

Nowa Targowica; List uczonych polskich w U. S. A. i Kanadzie; Zdzisław Czermański: Stefan Starzyński; Antoni Cwojdziński: Fragmenty z poematu „Purpurowy rejs"; Roman Fajans: Przed wymarszem na front (Korespondencja „Tygodnika Polskiego" z Kairu); Melchjor Wańkowicz: Dzieje rodziny Korzeniewskich; Lord Robert Vansittart: O duszy niemieckiej (z przedmowy do angielskiego wydania „Krzyżaków" Henryka Sienkiewicza) Opinje i zdarzenia.

ARKADY FIEDLER

S. S. BIELSK, STATEK Z CHARAKTEREM



Autor opowiadania

I.

Wiek dziewiętnasty odebrał marynarzom wiarę a statkom duszę. Żelazo, para i elektryczność, które gdzieindziej tyle dobra wyświadczyły ludzkości, tu poczyniły nielada spustoszenie. Stłumiły rozmach marynarzy, zgasiły barwę mórz, wyjałowiły statki. W tem materjalistycznem zdzieraniu uroku ludzkość nietylko wyrządzała krzywdę rzeczom i żywiołom, lecz krzywdziła i siebie sama. Morzu nie można odbierać czaru, jak kwiatom nie można odbierać zapachu.

To też gdy pod koniec owego dziewiętnastego wieku pojawił się wielki pisarz i żeglarz. Słowianin, oddający morzu od nowa odwieczną jego duszę, zapomnianą przez ludzi, Józef Conrad Korzeniowski stał się jakby objawieniem; uwierzył mu cały świat a szczególnie świat angielskich marynarzy. „Tkwi ironja w tem wyobrażeniu, że to Polakowi było dane, by Anglikom wytłumaczyć morze", pisał o nim wytrawny znawca spraw morskich, Geoffrey Rawson, w swym epokowem dziele: "Ships and Seamen".

II.

Jeżeli jest w tem prawda, że statki posiadają duszę i nie są martwą tylko konstrukcją żelazną, to dziwne dzieje s. s. Bielska mogłyby nastręczyć okazji do różnych ciekawych domysłów. I jeżeli przyjąć, że jakiś statek jest żywą istotą o wrażliwej, kapryśnej i przekornej duszy, to statek ów musiałby zachowywać się właśnie tak, jak zachowywał się Bielsk w ciągu całego, dziewięcioletniego swego życia.

Był to udany z wszech miar parowiec 1500-tonnowy, pasażersko-towarowy, zbudowany przez stocznię duńską według planów polskich i spuszczony na wodę w roku 1932. Przeznaczony na północne rejsy bałtyckie, gdzie zimą morze często zamarza, Bielsk miał kadłub łamacza lodu i nasuwał na myśl bizona o tęgiej piersi, przebijającego się wśród gęstwiny kier. Doskonałe i niezawodne maszyny mogły wyciągnąć szybkość 12 węzłów. co później przydało się nieźle w krytycznych chwilach jego żywota. Wszystkie urządzenia statku były celowe i wyśmienite: prawdziwi marynarze, którzy na nim jeździli, nigdy nie szczędzili mu ciepłych słów uznania. Również mile wspominali go pasażerowie owych kilku kabin, cóż, kiedy pasażerów niezawsze było wielu.

Duńczycy to naród uczciwy, lecz konserwatywny i nieufny. W czasach, gdy budowano Bielsk, nie dowierzano jeszcze Polakom jako marynarzom. Zapewne podczas budowy statku ściany jego musiały nasłuchać się niejednej ciętej kpiny pod adresem przyszłych jego marynarzy, nasiąkając fluidem złego przeczucia i zgryźliwością uprzedzeń.

Statki często bywały w oporze przeciw człowiekowi. Lecz rzadko w dziejach żeglugi walkę tę można było obserwować tak wyraziście i śledzić tak dokładnie jak w uderzających perypetjach Bielska. W tem wzajemnem ścieraniu się sił — tu statku, tam kapitana — człowiek bezustannie musiał od nowa składać dowody swej wartości. Bielsk z nielitościwą konsekwencją kreślił diagramy losów ludzkich i słabych kapitanów niszczył, dzielnych uznawał, mocnych się bał.

Statek, który w roku 1932 rozpoczął swą karjerę, wpływając do portu w Gdyni, miał w sobie coś z bystrego wierzchowca: był wnikliwym psychologiem i nieubłaganym złośnikiem w stosunku do tych, którzy na niego wchodzili.

III.

W owych latach Polska niewielu posiadała własnych marynarzy i musiała posługiwać się ludzką spuścizną, niezawsze wyborową, po swych byłych zaborcach.

M. był Rosjaninem, synem dygnitarza z carskich czasów, wychowanym w byłej Kongresówce i władającym znakomicie językiem polskim. W okresie Wielkiej Wojny służył jako oficer w rosyjskiej marynarce wojennej, z której wypędziła go do Polski rewolucja bolszewicka.

Gdy powstawały zalążki polskiej żeglugi handlowej, M. zgłosił się około 1927 r. do współpracy i przyjęty, rozpoczął ją jako drugi oficer na jednym z towarowych statków. Awansował szybko, gdyż był miłym człowiekiem i wyrobionym towarzysko szarmantem. Wielu wycieczkowiczów na Hel zachwycało się układnym kapitanem stateczku, noszącego imię jednej z hożych cór Marszałka. Kapitanem był M., lecz potem, już jako kapitanowi innego, większego statku, pośliznęła mu się noga. Plotka stugębna łączyła jego nazwisko z zatoką Botnicką i z brzydką przygodą powierzonego mu statku, po której M., niepyszny, osiadł cicho na lądzie.

Był to dusza-człowiek, owa przysłowiowa, rosyjska, szeroka dusza. Inteligentny, wymowny, gładki, przytem o pięknej postawie męskiej lecz równocześnie, pomimo tych pozorów, miękki i, jak tylu innych rozbitków z carskiej Rosji, wewnętrznie zdumiewająco słaby. Mimo to przyrodzoną swą gładkością umiał brać ludzi za serca i budzić w nich niezwykłe do siebie zaufanie. Więc gdy afera botnicka poszła nieco w niepamięć a wśród armatorów powstała konieczność wyszukania kapitana na objęcie nowego statku, spuszczonego co dopiero na wodę s. s. Bielska, wybór padł na kapitana M.

Trudno sobie wyobrazić większą sprzeczność: tam statek, silny jak bizon, podjudzony jak tur, jak gdyby zaczepny szyderstwem duńskich robotników, jak gdyby przepojony ich poczuciem wyższości, — tu rozlewny, zamaszysty, miękki, rosyjski człowiek. Podłoże konfliktu było gotowe.

W sześć tygodni później Bielsk, idąc swym ustalonym rejsem Gdynia-Helsinki, znalazł się na wodach fińskich. Panowała silna śnieżyca, trudno było utrzymać się na kursie. Pod wieczór nastąpiła katastrofa: statek wpadł na podwodną skałę i ugrzązł. Kapitan zaklinał się później, że to nie z jego winy. Mało mu to pomogło; Bielsk i morze pozbyły go się raz na zawsze. A chociaż statek wyszedł z tarapatów obronną ręką, armatorzy musieli zapłacić sporo za jego ratunek i reperacje.

Ludzie z załogi twierdzili, że w czasie wypadku słyszeli w olinowaniu, wśród poświstu wichru, wyraźne chichoty i urągliwe okrzyki duńskie.

IV.

Drugi kapitan s. s. Bielska, Z., był rzucającym się w oczy przeciwieństwem pierwszego. Niski, krępy, ży-

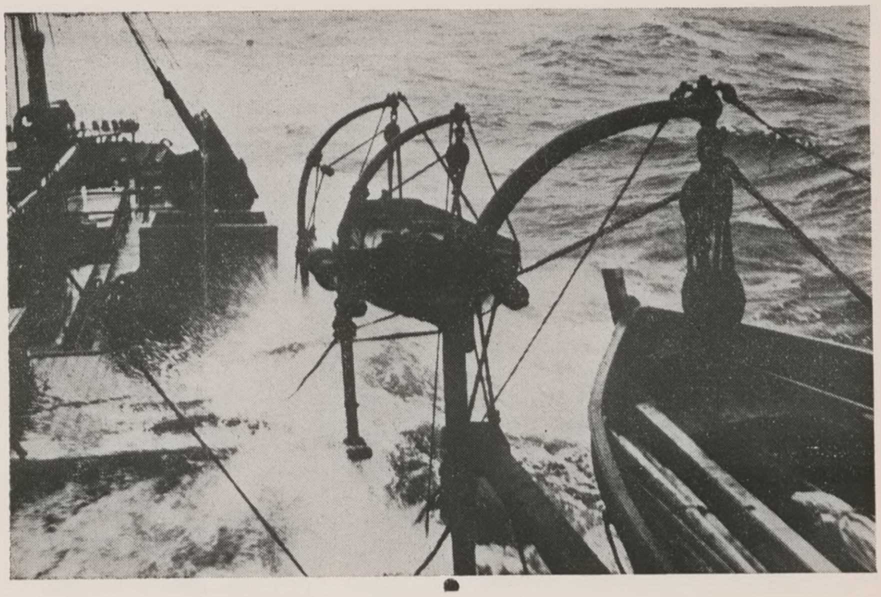
wy, głośny, szorstki, muskularny, typ męsko-brzydkiego boksera o wklęśniętym nosie. Na widok jego fizycznej siły mówiło się o nim: chodząca energja.

Jego dał Polsce drugi sąsiad, zachodni, jakkolwiek Z. rodził się Polakiem. Lecz wszystko, czem był i co posiadał, zawdzięczał Niemcom. Pływał w niemieckiej flocie handlowej jako marynarz, gdy Anglicy w czasie Wielkiej Wojny wzięli go do niewoli i umieścili na wyspie Man. Tam przeszedł kurs nawigacyjny. Po wojnie pływał nadal na niemieckich statkach, najpierw jako marynarz, potem jako bosman. Później uzyskał dyplom porucznika żeglugi wielkiej. Służąc wciąż Niemcom, awansował jako oficer na statkach linii Hamburg-Amerika a w roku 1928 złożył u nich egzamin na kapitana żeglugi wielkiej. W dwa lata później przybył do Polski.

Przybył w aureoli zagranicznej służby, tryskającej pewności siebie i niemieckiego dyplomu, więc przyjęto go w Gdyni z otwartemi ramionami. Powierzono mu funkcje pierwszego oficera na statku pasażerskim i przyrzeczono szybkie awanse. Uznanie i zaszczyty stały pred nim otworem lecz niestety, któregoś dnia w tym locie wzwyż coś nagle a obmierzle zgrzytnęło: gdy Z. zastępował raz kapitana na jednym z rejsów między Gdynią a Nowym Yorkiem, pech kazał mu posadzić statek paskudnie na mieliźnie w pobliżu Kopenhagi. Ów zgrzyt zwichnął mu karjerę, wysadzając i jego, Z., z kolei na mieliznę.

Z. dopiero przy bliższem poznaniu odkrywał, mimowoli, swe braki. Okazywało się, że matka-przyroda obdarzyła go coprawda imponującą krzepą w muskułach i zadzierżystym wyglądem, lecz poskąpiła mu oleju w głowie. Poprostu zewnętrznym znamionom tężyzny nie odpowiadał mózg. Gdynia w owe czasy wzięła ten mózg na języki i tak z niego sobie dworowała: Z. posadził statek na mieliźnie w drodze do Nowego Yorku, gdyż w pewnem miejscu, idąc w kierunku północnym, powinien był wziąść kurs na lewo, czego nie zrobił. Plotka gdyńska wymyśliła, że gdy statek w drodze powrotnej z Ameryki bliżał się do tego samego miejsca, idąc tym razem oczywiście w kierunku południowym, Z., pamiętając poprzednią omyłkę, teraz wziął kurs na lewo — i zdziwił się, że znowu wpadł na tę samą mieliznę.

Była to naturalnie "lipa", zmyślona przez jego kolegów, jednak charakteryzująca go należycie. Co wszakże najbardziej w nim uderzało, to urok, jaki mimo wszystko roztaczał. Jego walory zewnętrzne i fanfaronada nastroszonej siły brały ludzi wciąż na lep, nawet notorycznych lisów.



Na pełnem morzu

Armatorzy s. s. Bielska, po smutnem doświadczeniu z miękkim kapitanem M., dość mieli ślamazarności. Szukali teraz energii, wydajności, męskości, pięści. Wzrok ich padł na szeroką postać Z. Nie długo się zastanawiali i Z. został kapitanem Bielska.

Nikt wówczas nie przewidywał, ile w tej decyzji było lekkomyślnego wyzwania losu. Bielsk był przecież organizmem o nieprzebłaganej logice, notował z rygorem zegara każdy objaw słabości przeciwnika i działał jak mściwa, drapieżna istota. Brutalna brawura Z., która w Niemczech mogła uchodzić za cnotę, w Polsce rzucać zasłonę dymną, tu rozwiewała się w nicość.

W marcu 1933, właśnie w rok po przygodzie na fińskich wodach, Bielsk opuszczał ujście rzeki Łaby. Po zdaniu pilota przy latarniowcu "Elbe 2" kapitan Z. przeszedł zaraz na lewą stronę farwateru, niewiadomo dlaczego, gdyż należało kontynuować kurs po prawej stronie. Z morza, naprzeciw, wchodził właśnie inny statek, który trzymając się swej przepisowej strony, znalazł się w tym samym co Bielsk farwaterze. Statki mogły wzajemnie wyminąć się tylko przy zachowaniu największej ostrożności.

Lecz w tym krytycznym momencie, jak na złość, z komina Bielska buchnęły gęste kłęby dymu i powiały w kierunku zbliżającego się statku, zakrywając jego widok. Niezwykłość tego zjawiska, jakby niemal czarów, zaparła ludziom oddech. Gdy w chwilę później statki się zobaczyły, było zapóźno: dziób tamtego uderzył w burtę Bielska tuż pod mostkiem, na którym stał ogłupiały kapitan Z. Zatrzeszczało, wygięły się płyty burty, porobiły się dziury, wpada woda do luk. Stocznia w Antwerpii miała huk roboty przy naprawie.

Zdarzenie to, niestety, nie posłużyło ludziom za przestrogę i kapitan Z. pozostał nadal na Bielsku. Więc znowu nastąpiła katastrofa, i znowu w rok później, w marcu 1934 (wszystkie wypadki Bielska działy się w marcu, także jego śmierć).

Była noc u wybrzeży fińskich, trzaskający mróz. Powierzchnię morza pokrywała gęsta kasza lodowa. Bielsk postępował w odległości pół mili za fińskim łamaczem lodu, który prowadził go przez okolicę, najeżoną rafami. W pobliżu latarni Grahama łamacz lodu skręcił na lewo, dając o tem dwukrotny sygnał syreną. Bielsk dążył dalej za nim w pierwotnym kierunku, lecz nie doszedłszy do miejsca skrętu, zboczył przedwcześnie w lewo, jak gdyby chcąc skrócić sobie drogę. Co skłoniło kapitana Z. do tak ryzykownego manewru, nie wiadomo. Zła orientacja? Lekkomyślność? Zanik czujności?

Nagle statek zadrżał, podniósł się i zatrzymał. Zderzył się z podwodną skałą. Rozdarł sobie dno i wnet w maszynowni pojawiła się woda, szybko przybierająca. Pasażerów ratowano do szalup. Po dziesięciu minutach woda sięgała już szczytów maszyn, a statek przechylał się coraz groźniej w prawo i w lewo, wśród zgrzytów i łoskotu. Lecz nie zatonął. Ostał się na skale, z której ściągnęli go później ratownicy.

Bielsk ocalał, lecz kapitan Z., pobity teraz na dobre, poszedł na dziady.

V.

Trzecim kapitanem s. s. Bielska był marynarz, również jak Z., wychowany w marynarce niemieckiej, lecz

Polak duszą i ciałem, kapitan Czarny. Na długo rzed Wielką Wojną, bo od roku 1909, pływał już na statkach handlowych, a w czasie wojny zaciągnięty do niemieckiej marynarki wojennej, dosłużył się stopnia porucznika. Lecz natychmiast po ukończeniu wojny wrócił do Polski, biorąc udział w walkach przeciw Niemcom i Rosjanom. W 1919 był komendantem posterunku polskiej marynarki wojennej we Włocławku; w 1920 szedł z Hallerem do morza a w kilka miesięcy później wyróżnił się pięknym wyczynem: w czasie odwrotu polskich oddziałów ocalił cały szwadron ułanów, otoczony przeważającemi siłami wroga, załadowując żołnierzy w Libawie w ostatniej chwili na statek „Saratoga" i przewożąc ich cało wraz z końmi i sprzętem do Gdańska.

W roku 1922 przeszedł z polskiej marynarki wojennej do handlowej i został jednym z pierwszych instruktorów wychowawców na statku szkolnym "Lwowie".

Był to marynarz z Bożej łaski, oddany zapamiętale morzu, świetny nawigator i niepowszedni znawca maszyn. Twardy wobec siebie, wobec oficerów, wobec marynarzy, nawet wobec statków, przedstawiał wygasający typ dawnych, srogich kapitanów. Porywczy, łatwo popadał w gniew. Łączył w sobie chropowatą prawość charakteru z zawziętą energją w wykonywaniu obowiązku.

Więc i wobec Bielska zabrał się ostro do rzeczy i jakby od razu ukrócił jego swawolę. W tem zetknięciu się dwóch antagonistów — człowiek poraz pierwszy okazał swoją przewagę. Statek musiał się zgodzić, że po kilku miesiącach beznagannego pływania ludzie zaczęli nabierać do niego zaufania i jako pasażerowie korzystać coraz częściej z jego usług.

Jeśi nadal utrzymać teorję o przekornej jego duszy, to Bielsk w owych czasach wił się zapewne w obliczu swej niemocy i rozpaczliwem okiem wypatrywał okazji wyrządzenia kapitanowi jakiejś dokuczliwej psoty. Zdarzenie w porcie tallińskim byłoby takiej postawy charakterystycznym objawem.

Przy dobijaniu do przystani w Tallinie Bielsk miał zatrzymać się obok szkunera 300-tonnowego, leżącego przed nim. Idąc już tylko o własnym rozpędzie wzdłuż mola, zbliżał się powoli do żaglowca. Kapitan Czarny stał na mostku i kierował manewrem. W pewnym momencie, gdy należało zatrzymać statek, posłał przez telegraf okrętowy do maszyn znak: — Wstecz!, by dano kontrparę. Lecz mechanizm wypowiedział posłuszeństwo a sygnał wskazywał tylko na "Stop". Kapitan ostro ponowił rozkaz lecz telegraf uparcie powtórzył swoje: Stop! Widocznie wentyle od maszyny niespodziewanie się zatarły, lecz w tej chwii nikt nie myśał dociekać przyczyn. Bielsk z niepowstrzymaną siłą szedł powoli naprzód, by zmiażdżyć szkuner i może narobić innych jeszcze szkód.

Kapitan wmig zorjentował się w niebezpieczeństwie i nie tracąc głowy krzyknął do dziobu, by rzucono natychmiast prawą kotwicę, potem lewą a na ląd dano szpring. Rozkazy wykonano błyskawicznie i w ten sposób niemal cudowny uniknięto katastrofy: statek musiał zastopować, wstrzymany bodaj czy na metr przed rufą szkunera.

Bielsk uległ swemu pogromcy.

VI.

Wypadek ów stanowił jak gdyby punkt zwrotny w życiu statku i odtąd człowiek trzymał coraz mocniej w ryzach jego wybujałe skłonności. Czasem jeszcze działy się na nim rzeczy niepokojące, jak tragedja chłopca kuchennego, który popełnił samobójstwo po wbiciu noża w kucharza, lecz były to tylko drobne, osobiste zdarzenia. Wielka linja życiowa statku ciągnęła się teraz przez morza z niezmąconą i nieprzerywaną płynnością. Bielsk dobrze służył. Nie ulega również wątpliwości, że dostał się teraz w pewne i godne ręce: po energicznym kapitanie Czarnym nastąpiło kolejno po sobie dwóch młodych i pełnych zapału dowódców, już wychowanków polskiej szkoły morskiej. Również oficerowie i marynarze byli coraz zdolniejsi. Więc Bielsk pozbywał się swych złośliwych kaprysów jak ktoś, który wyrasta z młodzieńczych lat nieobliczalnej burzliwości.

Nadeszła wojna i rzetelna praca u wschodnich wybrzeży Atlantyku, w rejsach między Anglią, Francją a Afryką. W czasie upadku Francji Bielsk znalazł się w opałach, i jak kilku innym statkom groziło mu internowanie we francuskim porcie zachodnio-afrykańskim. Lecz wtedy już był na dobre sojusznikiem Polaków, wciągniętym całą duszą w ich wysiłek. Nikt nie poznałby dawnego złośliwca: Bielsk w tej ciężkiej przeprawie afrykańskiej zachowywał się wyraźnie jak oddany przyjaciel i wierny towarzysz broni. Z jego pomocą wyrwali się szczęśliwie z grożących im kleszczy.

VII.

W kilka miesięcy później w marcu 1941, statek zginął żołnierską śmiercią. Wychodził w nowy rejs z jednego z południowych portów Anglii. Był sam, bez eskorty, więc kapitan chciał odczekać nocy. Lecz władze portowe zapewniły go, że powietrze jest czyste i poleciły mu wyjść przed wieczorem. Musiał usłuchać.

WŁADYSŁAW BRONIEWSKI

RYSUNEK

Ziemio moja, droższa od innych,
nie śpię, szukam wspomnień dziecinnych,
bazgrzę niezręcznie, i na papierze
dom się pojawia, płoty, ganki,
bzy pachnące w majowe ranki
i wśród trawnika konwalje świeże —
kwiaty mej matki w dniu jej imienin,
ławka gąszczem bzu opleciona,
dąb, co od wieków nic się nie zmienił
i błogosławiąc wznosi ramiona.
Czemu słyszę dominikański
dzwon, co dzwonił na Anioł Pański?
Głowa słońca tonie już w Wiśle...
Mały chłopiec — o czem ja myślę?
— o narcyzach? o wildze na gruszy?
Bije siedem wieczornych uderzeń,
grusza biało płatkami prószy,
rośnie stary dom na papierze...
Czemu, czemu tak smutno duszy?

Zaledwie cztery mile od portu wachtowy marynarz zameldował zbliżanie się z lewej burty dwóch samolotów. Przez lornetkę stwierdzono że bliższa maszyna miała na skrzydłach znaki brytyjskie, druga, ścigająca ją, znaki niemieckie. Uciekając, brytyjski samolot pędził wprost w kierunku Bielska. Marynarze spodziewali się widoku walki powietrznej, lecz przeraźliwie się zawiedli. Gdy pierwszy samolot, rzekomo swój, zbliżył się do statku na odległość około dwustu metrów, nagle z jego kadłuba oderwały się trzy podłużne przedmioty. Bomby. Padły do wody o dwadzieścia metrów od statku i wybuchły, nie wyrządzając szkody. Równocześnie obsypał ogniem działkowym kapitański mostek. Był to. tak samo jak drugi bombowiec, niemiecki Dornier, tylko że podstępnie przemalowany.

Oficerowie i marynarze doskoczyli do broni. Mieli z każdej strony mostku karabiny maszynowe Hotchkissa, na rufie działo przeciwlotnicze. Zaczęli odstrzeliwać się z karabinów. Gdy nadleciał drugi samolot, także i on, spuszczając dwie bomby, chybił rufę statku o kilka metrów; lecz fontanny wody, wyrzucone na pokład statku, ogłuszyły na chwilę ludzi przy dziale.

Samoloty nie dały za wygraną. Zawróciły i niestety, ponowny ich atak był skuteczniejszy. Pierwszy Dornier wsadził w jeden z luków Bielska dwie bomby, które przebijając drewniane pokrycie, wybuchły w pustej ładowni. Lecz statek odgryzał się niczem rozjuszony pies. Prawoburtowy Hotchkiss (lewy był już potrzaskany) walił gęstym i celnym ogniem. Obsługiwał go trzeci oficer Łanga, strzelec i znany przed wojną sportowiec. Musiał dobrze podskubać wroga, gdyż bombowiec odleciał od statku i, jak doniosły późniejsze raporty, lądował przymusowo koło Falmouth.

Pozostał drugi Dornier. Nowy atak jego, dokonany z niewielkiej wysokości, był fatalny. Trzy równoczesne bomby trafiły w Bielsk tuż przed mostkiem kapitana i wyrwały w burcie potężną dziurę. Woda buchnęła do środka. Była to rana śmiertelna, statek odrazu przechylił się na prawo. Kapitan zarządził alarm szalupowy. Działo na rufie dało jeszcze raz ognia, lecz oczywiście bez skutku.

Z jednej burty spuszczono szalupę. z drugiej tratwę. Ratunek marynarzy odbywał się w porządku, chociaż pędem. Niektórzy skakali do wody i dopływali do łodzi. Wszyscy opuścili już statek z wyjątkiem kapitana, który daremnie szukał dokumentów okrętowych w zburzonej kabinie.

Statek przechylał się coraz bardziej i wisiał nad szalupą, jak zły los rzucając na nią ponury cień. Zdawało się, że jeszcze chwila a pogrzebie ją pod sobą. W tem powolnem przechylaniu się żelaznego olbrzyma nad kruchem życiem ludzkiem, zgęszczonem w szalupie, był nieokreślony wyraz drapieżności. Jak gdyby w tej ostatniej chwili odżywała dawna wrogość statku do ludzi.



Wódz Naczelny, gen. Kazimierz Sosnkowski, w otoczeniu nowomianowanych oficerów Polskiej Marynarki Wojennej

Kapitan, który jeszcze przebywał na pokładzie, szukając papierów, — krzyknął do nich na dół, by natychmiast odbijali. Przecięli falenie, łączące szalupę ze statkiem i odbili. On sam wspiął się na drugą, sterczącą wysoko burtę i stamtąd, z pasem ratunkowym w ręce, ześlizgnął się do wody.

Gdy łódź oddaliła się nieco od statku, nastąpiła nieoczekiwana rzecz, wprawiająca wszystkich w najwyższe zdumienie. Statek doszedł już do tak niskiego stopnia przechyłu, że, przewrócony bokiem, prawie tonął. Lecz naraz przestał się zapadać. Przeciwnie, zaczął się odnosić, prostować i powracać do swej dawnej, normalnej pozycji. Było w tem coś przejmującego, podniecającego wyobraźnię:— niektórym się wydało, że statek, chyląc się przedtem tak groźnie, chciał spłatać marynarzom ostatniego figla; inni widzieli w tem jak gdyby przyjacielskie ostrzeżenie statku, by przynaglić rozbitków do ucieczki.

Po zupełnym wyprostowaniu się statek zaczął tonąć naprawdę, zapadając w otchłań dziobem naprzód, z rufą wzniesioną wysoko ponad wodą. Tak wsuwał się w swój morski grób nurek pełen tragicznego dostojeństwa. Ostatnia nad powierzchnią wody pozostała rufa. Wsiąkała powoli, jakby niechętnie, z żalem. Potem pozostały z niej już tylko dwa szczyty: bandera i armata. Rzekłbyś, dwóch nierozdzielnych towarzyszy. Gdy po chwili armata schodziła, ginęła jeszcze wolniej, niż poprzednio rufa: ginęła jak ktoś bliski i drogi, życiu wyrywany przemocą.

W końcu pozostała sama bandera. Plama biało-czerwona sterczała nad wodą dziwnie długo. Marynarze nie mogli oderwać wzroku. Byli wstrząśnięci, ogarniał ich nabożny dreszcz. Kilku przeżegnało się. Zjawisko było aż zbyt wyraźne: tonący Bielsk rzucał żywym przejmujący znak swoją i ich banderą, zanim zginął zupełnie.

Niektórzy marynarze mieli wrażenie, że ktoś błogosławił im na dalszą drogę.

VIII.

Więc pozostaje ważkie a drażliwe pytanie: czy Bielsk posiadał duszę? Niezwykłe przeżycia jego były zwierciadłem czegoś, co miało głębsze znaczenie, czy też były tylko przypadkowym zbiegiem okoliczności? Trudno na to odpowiedzieć, lecz z tych wszystkich wątpliwości wyłaniają się dwie niezaprzeczone prawdy:

Dawniej, gdyby to się działo dwa, trzy wieki temu, kiedy marynarze mieli nieposkromione serca, zuchwałe myśli i zaborczą fantazję, Bielsk posiadałby legendę statku o żywej i upartej duszy.

Dziś, choćby odebrać mu te przymioty i osadzić go w trzeźwiejszej wodzie, pozostanie jednak zasłużonym i zagadkowym statkiem, który lepiej niż powołani do tego ludzie, umiał odróżniać marynarskie plewy od zdrowych ziaren. I Bielsk nietylko odróżniał lecz więcej: plewy zapamiętale niszczył, ziarnom szczerze sprzyjał i wiernie służył.

Był to statek z charakterem.

ANONIMOWY POETA POLSKI PODZIEMNEJ

WARSZAWA



O, ty — przestrzeni polska, pogarbiona, smutna,
wiatr rozwiesza po tobie jak wilgotne płótna
mgły białe po pagórkach po kresy rozstajów
a przy rozstajach świątki wioskowe przystają
i krzyże połamane prostują ramiona...
— Przestrzeni mazowiecka, płaska, pogarbiona...

O, przestrzeni zdradliwa... bez kresu się prościsz,
od Wschodu do Zachodu otwarta naoścież,
rozpostarta beztrosko, swe pola rozścielasz...
Nie odróżnisz przyjaciół od nieprzyjaciela.
Od Wschodu do Zachodu przez wieki pochody,
kto zechce, przez twą płaskość przepływa przez szkody
i walą się potopy — jak fala, co bryźnie,
odpływa i zostawia na płaskiej mieliźnie
nowy osad — ryb trupy, meduz i mięczaków...
...tak osady z potopów na ziemi Polaków.
zostawały na zawsze na dziejowym szlaku.

A tam gdzie owa plaskość najbardziej jest płaską,
na skrzyżowaniu szlaków, na niepewnym piasku,
w luku Wisły łagodnym, ktoś z lewa i z prawa
zatoczył koło — w kole wytrysła Warszawa.
Dziwne miasto, niesforne, piękne — a nieładne,
wesołe, lekkomyślne, więc polskie — jak żadne.

Ktoś w kołpaku z krzyżykiem pod znakiem przechodzi...
Wiatr zmierzwił włosy w szwedzkiej, cudzoziemskiej brodzie,
wzrok obraca na Wisłę, dal oczyma pije,
może marzy, że ujrzy daleką Szwecyję,
wiatr nadwiślański mitrę na glowie przegina,
obejrzał sie i widzi, że Zamek w ruinach,
więc wstąpił na kolumnę i gdy wpatrzy ktoś się,
wyda się mu, że wolno swoją szablę wznosi.
A lud stołeczny wierzy, że gdy szabla w górze
to znak, że sie w krwi własnej wkrótce wróg zanurzy,
że szabla podniesiona nową chwałę wróży.

Och, ileż tu upiorów, ile z każdej strony
dam, robronów i karet a łbów podgolonych,
iluż arcybiskupów w lesie złotych krzyży,
ileż wielkich tryumfów i ileż poniżeń,
ile wzlotów i ileż ogromnych upadków,
ile nędzy i ileż wspaniałych dostatków.
Grzmią działa — ileż razy Warszawa się broni,
ileż razy wpadają i tratują po niej,
ileż wrogów z Północy, z Zachodu, ze Wschodu
dobywają tych murów. wpadaja do grodu,
biją dzwony na trwoge, kołyszą się ciężko,
tryumfalnie na tryumf, płaczliwie nad klęską



lecz kołyszą się zawsze, choć wieżyce płoną,
na wieczne biją serca narodowych dzwonów.

To tu, tu było wszystko, tu wszystko się działo,
tu kwitło sztandarem czerwono i biało,
pomnisz, kiedy zalewał miasto potop szwedzki
w jego fale się rzucał w galopie Czarnecki.
Dziś rozkazuje gromko całej armji cieniów,
głos drży, bo się na złotem łamie podniebieniu,
oczy ma roziskrzone, od wichru krwawe,
bo odbija na Szwedach w galopie Warszawę.



Popatrz — płynie stolica w obłokach, jak w tiulach,
naród niesie na rękach ostatniego króla
i krzyczy naród wszystek — Wiwat król kochany!
— Wiwat! — nie wiedzą jeszcze warszawskie mieszczany,
że gdy go tak nad tłumy rozwrzeszczane wiodą
on już w myślach podpisał na hańbę narodu
twardy wyrok, nikt nie wie, że niemęsko płacząc
już skazał wielu tutaj na dolę tułaczą.
Będą się jeszcze bronić... Trwać obrona będzie
lat długich setke zgórą — odtąd, odtąd wszędzie,
wszędzie tam gdzie się biją, gdzie potrzeba czynu
beda gwizdały kule z polskich karabinów.
Tu bohater dwu półkul, wzgardzi Nowym Światem,
broniąc miasta. Europy Pierwszy Obywatel
Książe Pepi z fajeczką powiedzie Polaków
w ułance, jak do tańca, pójdzie do ataku.
Przez wiek nad kołyskami strop się ciągle pali,
a z kołysek wychodzą mężowie dojrzali
i nim wiek dziecinnej nauczy zabawy,
już lecą na ruinach i bronią Warszawy,
na fortach Woli, Pragi, polach Mokotowa,
kampanja za kampanją szaleje od nowa,
i po wieczorach krwawych krwawią się poranki,
wciąż leci nad tym miastem nuta Warszawianki.

— O, melodjo zdradziecka, przysłana przez naród,
który patrzył spokojnie na luny pożarów,
miłości niewzajemna uroczego kraju,
gdzie wzajemności, ani przyjaźni nie znają.
Oto miasto, co zawsze składało ofiary
patrzy dziś na ten cały, choć zdobyty Paryż,
po którym się zatacza butny i wesoły
ten sam pruski parobek, żołdak i pachołek.
Zapatrzyła sie oto spalona Warszawa
na twój charme — ale tutaj walka i zabawa
sa związane tak ściśle, że nikt nie spostrzeże
czy to tylko gawrosze, czy już — bohaterzy...

— O, lekkomyślne serca tych płaskich przestrzeni,
ciebie najsroższa nawet klęska nie odmieni,
nie spalą cie pożary, nie zburzą pociski,
będziesz tańczyć po bruku od krwi własnej śliskim,
a nie ugniesz sie w walce — kpiąca i zawzięta,
ty, co przeżyłaś wszystko i wszystko pamiętasz,
wytrwasz. polski Patryku, doczekasz godziny,
wyślesz nowych Kilińskich na stare ruiny
z granatem w jednej ręce, w drugiej z wódki szklanką,
zaniesiesz sie pod niebo nową Warszawianką
i znowu zatkniesz sztandar na odbitej Woli...
Wolna, pierwsza wśród wszystkich pognębionych stolic...

MELCHJOR WAŃKOWICZ

DZIEJE RODZINY KORZENIEWSKICH

Korzeniewscy, wywiezieni przez Rosjan ze Lwowa na Ural jako "wolno-osiedleńcy", dowiadują się po roku nędzy, głodu i cierpienia, że są "amnestjonowani" i w tragicznych warunkach tułają się po Rosji w poszukiwaniu władz polskich. Oto końcowe fragmenty opowiadania Hanki:

Wypełzły z ubogich lepieńców, stał tłum milczący i nieruchomy. A kiedy hejnał wspiął się na najwyższą nutę i zamarł — tłum przebiegł dreszcz jakby dopełniło się siedemsetletnie przeznaczenie i pękł urok.

2. grudnia. Ola, leżąca w szpitalu w Szabasie, dowiedziała się, że pojedzie transport z powrotem w górę Amu-Darji, rzekomo na skutek interwencji władz polskich, które obejmą opiekę. Jak zwykle w Rosji — kazano wyjeżdżać natychmiast a kto nie zdąży, ten zostanie przy bawełnie. Ola dała tuziemcowi obrączkę złotą, dwa bochenki chleba częściowo oszczędzone, częściowo wyskamlane i 150 rb., otrzymanych z sprzedaży ostatniego łacha. Dała, jednem słowem wszystko, co posiadała, aby tylko zawiózł rodzinie kartkę z wiadomością, że mają natychmiast przyjeżdżać. Wydobyła też z "reispołkomu" (zarządu gminy) i przysłała kartkę na danie przez „kołchoz" podwody pod rzeczy.

Wodostan o tej porze był niski, więc przysłano im "barżę" płaskodenną, niską i płytką, krytą brezentem. Jak pływający grób...

Barża jednak nie mogła wziąść ludzi, tylko bagaże. Ludzie mieli przebyć 40 kilometrów, gdzie rzeka się zwężała i stan wody był lepszy. Ola błagała, by ją zostawić. Trudno było patrzeć na jej cierpienia.

Kiedy wtoczono partję pod brezent — leżała w niej miazga ludzka nie reagująca na wszy, na brak jedzenia, na odrętwiałość nóg i na coraz częstsze śmierci wśród siebie.

W udręczonej półprzytomności tliło jedno pytanie: jeśli ich wysadzą na brzeg przeciwległy od dawnego obozowiska, po stronie zachodniej — może i prawda, że tu jest kontakt z władzami polskiemi, że pojadą do Persji, pod opiekę swoich, gdzie otrzymają pomoc aljantów. Ale jeśli po stronie wschodniej...

Wyładowano ich po stronie wschodniej. Już stały brudne czerwone skrzynie śmierci, towarowe wagony dla przewożenia materjału ludzkiego, cuchnące otworami wyciętemi w podłodze, robaczywe i ponure.

"Sadis!.." (siadać!)

Wtłoczyli się... Może znowu będą jechać miesięc, może dwa... Może czerwonemu caratowi zbrakło akurat niewolniczego mięsa w tundrze pod kręgiem polarnym?

Biedni, bezwolni ludzie...



"...Kołchoz "Woroszyłow" był odległy od stacji..."

Ale ich wyładowano o kilkadziesiąt kilometrów na wschód, w miasteczku Kara-Kul, które należało do Obłasti Bucharskiej.

Ola została w szpitalu, jeśli tak można nazwać te miejsca, w które zwalają chorych. Rodzinę Korzeniewskich wysłano do pracy do kołchozu „Woroszyłow". Jak wiadomo w Rosji Sowieckiej istnieje oryginalny zwyczaj nazywania miast, ulic i skwerów imionami żyjących ludzi, jak również stawiania im pomników. W tym względzie, o ile mi wiadomo, mógł z respubliką Sowietów konkurować tylko b. Szach, który postawił sobie za życia kilkadziesiąt pomników, z czego pięć w samym Teheranie. Pisarz rosyjski Katajew w swojej powieści "Defraudanci" pisze, że w pewnem mieście prowincjonalnem nazwano muzeum, główną ulicę, skwer i park miejski nazwą jakiegoś wybitnego towarzysza Iwanowa, który jednak potem "przekradł się". Ponieważ wydobycie nowych tabliczek emaljowanych nastręczało trudności, a pozatem obywatele przywykli do tych nazw, więc ograniczono się na domalowaniu literki b. na każdym szyldziku. "Ulica byłego towarzysza Iwanowa".

Kołchoz „Woroszyłow" był odległy od stacji 5 klm. i 8 klm. od miasteczka, w którem leżała Ola.

Rodzina Korzeniewskich ulokowała się w lepieńcu z gliny. Nie było w nim najmniejszego sprzętu, tylko przez całą długość biegła ogromna nara drewniana, zostawiająca tylko wąskie przejście wzdłuż ściany.

Uważając, że sześciu osobom będzie za luźno, dodano im na mieszkanie niejakiego Prokopa, chłopa z Lubelszczyzny, z tej właśnie prowincji Polski, do której wyniszczenia zabrał się bratni niemiecki totalizm w 1943 r., otaczając kraj kordonem, porywając ludzi do roboty, niszcząc fizycznie starców i słabe dzieci w obozach śmierci i wywożąc wyrwane matkom wybrane fizycznie dzieci do sierocińców w głębi Niemiec.

Praca była tego rodzaju, że całemi tygodniami nosiło się nosidłami po dwie osoby ziemię z jednego końca pola w drugi. Hanka nie umie objaśnić, poco to było potrzebne. Świadczy to tylko o tem, jak daleko w dusze ludzkie zapuściło korzenie niewolnictwo pracy.

Płaca teoretycznie wynosić miała na osobę pracującą pół kilograma dziennie mąki, w której było 50 procent jakiejś domieszki. „Żywieniec" t. zn. niepracujący miał otrzymywać 300 gramów dziennie. W gruncie rzeczy tragedja uralska miała tu się powtórzyć w silniejszym jeszcze stopniu. Mąki nie dawali prawie nigdy. Czasem dawali po 300 gramów ziarna na osobę.

Zaczyna się straszny głód. Tłum uzbecki naokoło jest kompletnie wro-



"...Mały Jurek jest zaliczony do kategorji żywieńców..."

gi. Któż może wiedzieć, co powiedziano tym ludziom?

Jest przeraźliwie zimno. Prokop poczyna z gliny lepić piec. Nigdy tego nie robił. Spartolony komin wpycha z powrotem do wnętrza kłęby dymu. Powstaje pożar, który ledwo ugasili. Zebrał się tłum uzbecki, grożąc, że ich rozszarpie.

Boże! — co też ci ludzie sobie wyobrażają? Żeby wiedzieć... Żeby wytłumaczyć...

Po dwóch tygodniach pobytu w kołchozie, na samo Boże Narodzenie, przywiózł Uzbek skrzypiącą arbą Olę ze szpitala. Szpital zdecydował, że nie może jej trzymać, więc ją odesłano, a ponieważ był „wychodnoj dzień" i nie można było odebrać jej ubrania — odesłano ją owiniętą w koc, który kazano Uzbekowi zabrać z powrotem.

Ola jęcząc, przy pomocy matki wdrapała się na pryczę. Zbliżała się wilja. Wrócił ojciec, który ostatniemi dniami chodził jak cień, z garstką kaszy. Matka spytała, skąd ją zdobył. Wobec bojkotu ludności niczego nie można było dostać. Długi czas nie mówił nic. Wreszcie pokazał na rękę, na której nie było obrączki.

Złoto nie miało żadnej wartości w Uzbekistanie, nic więc dziwnego, że za obrączkę Korzeniewski dostał nieco kaszy. Niespodziewanie przekonali się, że bardzo są poszukiwane różne świecące guziki. Mieli ich trochę. Rozpoczął się każdym guzikiem zajadły handel. Każdy sprzedany guzik. to był targ o własne życie.

Nic nie pomaga. Jest jasne, że targ jest przegrany.

U 58-letniego Korzeniewskiego następuje szybki zanik mięśni. Przestaje chodzić na robotę. Przechodzi do kategorji „żywieńców".

Matka „poderwała się" w robocie. Nastąpiło osunięcie się macicy. Stara się robić po domu. Jest „żywieńcem".

Ola leży i jęczy. I ona nie chodzi na robotę.

Mały Jurek też jest zaliczony do kategorji „żywieńców", chociaż spala się chęcią pomożenia rodzinie. Ale ustawy sowieckie są liberalne; nie można zatrudniać małoletnich.

Antosia ma prawo i zarazem obowiązek pracy—ale to wisi na nitce. Przestała panować nad sobą. Pod pozorem handlu guzikami lata po wioskach i opowiada Uzbekom po polsku, jak to w Polsce było.

Nastrój — jak w łodzi podwodnej, której się wyczerpały akumulatory, która nie wypłynie... Cóż poradzą ci trzej — ten twardy chłop z Lubelszczyzny, na którym skóra wisi na kościach jak materjał na strachy na wróble — ten były podchorąży, zdający sobie sprawę z tego, że mu żona umiera i nie umiejący nic poradzić — ta osiemnastoletnia dziewczyna, słaniająca się na nogach, z rozpaczą patrząca na konanie ojca, matki i siostry, na płonące gorączką głodową oczy młodszego braciszka?

Cóż poradzą, biorąc świtaniem ciężkie motyki, zwane na wschodzie „turije", tutaj „ketmany", aby kopać ziemię i nosić, kopać i nosić...

Wkoło stoi wieś szara martwa, za lepionemi murami bez okien.

Gotują w wodzie — makuchy wytłoczone z ziaren bawełny. Kiedy Hanka podaje matce kubek z nakruszonemi makuchami, matka długo ją gładzi po głowie i mówi cichym głosem:

— Kiedy umrę — pamiętaj o dziecku...

Dziecko — to Jurek.

I teraz jeszcze czasem coś się zdarza. Jest bardzo zimno. Uzbecy w porze letniej porobili zapasy uschłych łodyg bawełnianych. Ale rodzina Korzeniewskich ich nie ma. Więc ci, co mogą chodzić, w godzinach po skończonej robocie idą do miejsca odległego o trzy kilometry, gdzie są zostawione suche badyle. Pewnego razu jakiś Uzbek uderzył Prokopa za to „ketmanem" w pierś. „Ketman" zadał ranę, ale zleciał z trzona i Prokop go zatrzymał jako zastaw, grożąc, że poskarży się władzy. Władzy Uzbecy bardzo się boją. Dla załagodzenia i wykupienia „ketmana" dali owcę zdechłą przy porodzie. Było jedzenie.

Pewnego razu, w końcu stycznia, wlazł do lepieńca jakiś bezdomny parszywy psiak. Spojrzał kaprawemi oczami na ludzi szukając ratunku przed śmiercią głodową. Henryk z Jurkiem wymienili prędkie spojrzenia. Hanka z matką wyszły za drzwi.

Odtąd — polują na psy i koty — zwierzęta nieczyste w pojęciu Uzbeków. Lepieniec stojący za wsią — otacza powszechna pogarda. Spluwają przechodząc koło miejsca, w którem siedmiu parjasów czepia się życia.

Trudno jest, będąc szpiegowanym przez wszystkie dzieciaki wsi, polować na psy lub koty. Więc w „wychodnoj dień", (który już nie może tak ratować jak na Uralu, bo nie ma ani grzybów, ani malin, ani ryb, ani nawet pokrzywa w tej ziemi przeklętej nie rośnie) Hanka chodzi z Jurkiem pod odległy z osiem kilometrów Kara-Kul i dzieci zasadzają się na wałęsającego psa. Następuje obrzydliwa scena przywabiania pieszczotliwemi słowami zwierzęcia, które zbliża się z ufnością. Zabite zwierzę dzieci pakują do plecaka, aby nikt nie poznał co niosą.

Ale te dziecinne bohaterstwa, te słabe dziecinne ręce nie mogły już postawić tamy wypadkom.

Dziesiątego lutego ojciec traci przytomność. Kona dziewięć dni. Kiedy przychodzą godziny przytomności, jest taki jak dawniej, jak w Katowicach... Oczy promieniują dobrocią. Wróciła troska o byt najbliższych, poczucie przynależności rodzinnej. Matka stale siedzi przy nim. Nie puszcza jej ręki. Jest to niestety, jedyny środek uspokajający, jedyne lekarstwo, które mu dać może. (c. d. n.)

WITOLD HULANICKI

"ANKIETA NIE DO DRUKU"

Po zawarciu sojuszu z Hitlerem Rosja okupowała w 1939 r. wschodnią Polskę i administrowała nią aż do czerwca 1941 r. W tym czasie, według raportu Nr. 8 International Labor Office „The Displacement of Population in Europe", Rosja deportowała od 1,200,000 do 2,000,000 Polaków wgłąb Rosji. Pośród tej ilości było prawdopodobnie około 500,000, ale w każdym razie nie mniej niż 350,000 dzieci poniżej lat 14. Dzieci te tak samo jak i dorośli były bądź w łagrach bądź na osiedleniu w stepach Kazachstanu na Syberji w najstraszniejszej nędzy.

Pesymiści twierdzą, że 70 procent wyginęło. Nie sposób stwierdzić, czy cyfra ta jest prawdziwa, wiadomo tylko że poza granice Rosji wydostało się około 22,000 dzieci.

Warto spojrzeć na fotografję przedstawiającą grupkę umundurowanych dzieci polskich, które gdzieś z nad Białego Dunajca, z nad rwącego Popradu i dostojnej Wisły przewędrowały szlakami Dniepru i Wołgi, Tygrysu i Eufratu aż nad brzeg biblijnego Jordanu, i zastanowić się jakie myśli powstały w główkach dziecięcych, które tyle przecierpiały, jakie myśli powstały w główkach dzieci, które tyle przemyślały. Warto dowiedzieć się, co myślą najmłodsi Polacy, ubrani w skromny uniform żołnierza pustynnego, dalecy od swojej ziemi rodzinnej i od swojej rodziny. Co myślą junacy?

Gromada junacka jest czasem rozbawiona, często rozśpiewana a rzadziej dla oka ludzi z zewnątrz zamyślona i zamknięta w sobie. Trudno jest dotrzeć do najintymniejszej myśli małego Polaka, który jest doświadczonym człowiekiem. Trudno jest spowodować wyznania uczuciowe z jego strony. Bo to przecież naprawdę twardy żołnierz, który tylko pozornie ma osiem czy dziesięć lat, i który tylko pozornie patrzy oczyma małego dzieciaka w bezmiar wydarzeń najokrutniejszej wojny. Aby skłonić żołnierza-dziecko do przyznania się, co myśli i co czuje, trzeba było, by jego własna, najbliższa mu gazetka "Junak" rozpisała **ankietę nie do druku.** Ankietę, w której poszczególni junacy mieli podać kilka wspomnień z przeżyć osobistych i wypowiedzieć kilka najbardziej dręczących ich myśli. Ankietę tę rozpisano w miesiącach maju i czerwcu tego roku. Z nagromadzonych odpowiedzi powstał niewyczerpany materjał psychologiczny, socjologiczny, a kto wie może nawet polityczny. Bo ci mali Polacy z niespotykanem doświadczeniem osobistem i zbiorowem, o niespotykanej ilości wrażeń—mają swój niespotykanie wyrobiony pogląd: na sprawy życia, na sprawy narodu, a tem samem na to, co ludzie dorośli zwykli nazywać sprawami polityki. Poprzez jednak różne refleksje natury społecznej i osobistej przebija stale, u wszystkich, bez względu na pochodzenie, bez względu na wiek, nuta rozpaczliwej tęsknoty za krajem ojczystym i melodja niepocieszonej rozpaczy za utraconą rodziną. Ile dramatycznej treści jest w niektórych urwanych, stylistycznie bezpretensjonalnych powiedzeniach małych junaków.

Jeden z bardziej dorosłych, bo w tej chwili już około siedmnastoletni chłopak, uczeń szkoły kadetów, S. M. pisze: "Urodziłem się w 1926 roku w osadzie Hallerowo na Wołyniu. 10 lutego 1940 władze sowieckie przesiedliły nas w głąb Rosji. Mogłem uciec będąc w chwili wywożenia rodziny poza domem ale nie chciałem starych rodziców pozostawić samych. Zostaliśmy wywiezieni pod Archangielsk... Matka i ja chodziliśmy rąbać drzewo w tajdze. Po pewnym czasie matka umarła z biedy. Po jej śmierci już sam pracowałem w lesie..." Młodszy o dwa lata od swego kolegi, kadet S. S. pisze: "W bydlęcych wagonach jechaliśmy ośmnaście dni. W wagonach szerzył się tyfus. Trupy wyrzucano z wagonu. Ze stacji Rudniki szliśmy 95 kilometrów na posiołek Skaczok w gubernii Kirow. Praca trwała dziesięć godzin dziennie... W listopadzie 1941 zachorowała matka na tyfus... W Palestynie już dowiedziałem się o śmierci matki." Śmierć najdroższych przewija się jako jedyny temat wspomnień z tajgi. Młodszy junak B. M. podaje w ankiecie: "Pamiętam, gdy wracałem do domu po całodziennej pracy. Wciąż z oczu matki płynęły dwa strumyki gorzkich łez... Przybył kolega z kołchozu i dał mi znać: rodzice nie żyją."

Niezwykle smutna jest treść ankiety. W bardzo dużym procencie rubryka zatytułowana: **rodzice, rodzina, rodzeństwo** — ma na pierwszy rzut oka krótką odpowiedź **"nie żyią".** Ale młode drżące ręce junaków dopisują do tej krótkiej odpowiedzi pewne objaśnienia. Młode drżące serca nieszczęśliwych dzieci nie chcą na tym zakończyć sprawozdania. Chcą przy tej sposobności wypowiedzieć się szczerzej, chcą się poskarżyć — jakkolwiek zdają sobie sprawę, że nie znajdą pocieszenia.

Mniejszy jest procent odpowiedzi ankietowych, w których w rubryce: **rodzice, rodzina, rodzeństwo** — zamieszczana bywa odpowiedź **"Zostali w Rosji".** Czy ci mali junacy, którzy rodziny swe pozostawili nie na cmentarzach syberyjskich ale w dalekich łagrach, czują się szczęśliwsi od tych, którzy pisali "rodzice nie żyją"? Pod numerem 60 ankiety pisze K. T.: "Po wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej byliśmy jeszcze długo w tajdze. Nie mogliśmy wyjechać, nie było kolei ani samochodów. Zrobiłem sam sanki, na których z mniejszem rodzeństwem przeszliśmy 180 kilometrów. Sam dostałem się do Taszkentu a stamtąd do junaków. Niestety rodzina została w Rosji. Wciąż myślę o niej i tęsknię i nie mogę ustalić, co się z nimi stało. Czy żyją jeszcze?" Uczeń trzeciej klasy szkoły mechanicznej J. M. pisze niewprawnie, często przerywa tok myśli i często wraca do jednego najbardziej zajmującego zagadnienia. Właściwie nie trzyma się żadnych formalnych rubryk i kolejności ankiety. Myśl, która go dręczy, wyłamuje się być może w najmniej spodziewanym z pod regulaminu ideałów i powiada być może w najmniej spodziewanym miejscu: "Spotkało mnie wielkie nieszczęście. Mama umarła... Dostałem się do junaków ale tam zostało całe młodsze rodzeństwo. Co się z nimi stało? Czy mają co jeść, czy mają w co się ubrać? A może nie żyją?" Inteligentnie stylizuje i ma nadspodziewanie wyrobione pismo junak D. J. który pod numerem ankiety 65 opisuje: „...zachorowała młodsza siostra na tyfus. Zawieźli ją do szpitala, skąd więcej nie wróciła. Ja potem wstąpiłem do junaków a tatuś z siostrą zostali w kołchozie. Muszę o nich myśleć, bo mnie powodzi się dobrze a oni nie mają co jeść... Niedawno słyszałem, że ojciec mój już nie żyje. Pozostała sama 9-letnia siostra Stefcia." Na tym akordzie "pozostała sama dziewięcioletnia siostra Stefcia" kończy kilkunastoletni junak D. J. swoją odpowiedź na tematy rodzinne w ankiecie. W tych kilku słowach zamknął ogrom straszliwych myśli. "Wciąż muszę o nich myśleć" piszą małe dzieci o swem rodzeństwie, pozostawionem w tajgach. Jakie to straszne muszą być myśli. I jak mają sobie z niemi poradzić małe blond dzieci o niebieskich oczach i o długich złocistych rzęsach?

OPINJE I ZDARZENIA

Na skutek zmienionych warunków, w których przychodzi nam pracować i które już szeroko omawialiśmy — „Tygodnik Polski" przeprowadził szereg usprawnień organizacyjnych, niezbędnych w nowej sytuacji.

Z dniem 1 lutego na czele redakcji „Tygodnika Polskiego" staje Jan Lechoń jako redaktor naczelny. Pismo nasze zachowuje ten sam charakter, program i kierunek i iść będzie dalej po linji, kreślonej tylokrotnie w naszych artykułach i zaakceptowanej przez uznanie naszych czytelników. Członkowie Koła Pisarzy są — jak byli — najbliższymi współpracownikami "Tygodnika".



W szkole Junaków: Przed pierwszym lotem

KONKURS LITERACKI PISMA POLSKI PODZIEMNEJ

Redakcja pisma podziemnego "Kultura Jutra" ogłosiła konkurs na utwór o Warszawie, motywując w jednym z swych artykułów, iż "miasto to — pośród stolic Europy — zajęło już dziś pozycję wyjątkową w historji i ma swoją niezniszczalną legendę. Inter arma silent Musae — legenda wstaje dopiero z perspektywy czasu — tu jednak zasady te kruszą się i ustępują miejsca naporowi szorstkiego patosu chwili".

Na konkurs wpłynęło szereg utworów o niepośledniej wartości. Powstała więc konieczność ustanowienia dwóch nagród zamiast jednej i podwyższenia łącznej sumy z 1000 zł. na 1500 zł.

Pierwszą nagrodę przyznało jury sądu konkursowego poematowi p. t. "Psalm". Drugą nagrodę podzielono na cztery części po 200 zł. każda. Nagrodzone zostały utwory p. t. „Śpiew murów", „Warszawa" (drukowany w bieżącym numerze „Tygodnika Polskiego"), „Rapsod o Warszawie" i „w Warszawie drugiej..."

W czasie konkursu do rąk redakcji dostał się wiersz p. t. "Rzeczy", rzucony na ulicy przez młodą Żydówkę, prowadzoną podczas pożaru i rzezi ghetta w "konwoju" z małego ghetta do dużego.

Poważny plon konkursu "Kultury Jutra" zasługuje na uwagę ze względu na wyjątkowe trudności techniczne dotarcia pisma do czytelników i nadsyłania utworów do redakcji; dlatego też należy podkreślić zarówno doskonałą myśl i inicjatywę pisma jak i znakomitą organizację jego czytelników.

POLSKA PODZIEMNA... W BERLINIE

Z uczuciem radości i zadowolenia przyjmuje społeczeństwo polskie w Kraju wiadomości o każdym fakcie sprawiedliwego odwetu, dokonanego na oprawcach niemieckich w Polsce. I nadwrót — nastroje wśród gestapowców i urzędników niemieckich stale słabną. Skwapliwie korzystają oni z każdej sposobności wyjazdów służbowych do Vaterlandu, nie mówiąc już o urlopach.

W tych warunkach świetnego posunięcia dokonało polskie Kierownictwo Walki Konspiracyjnej, rzucając dwie bomby na terenie Dworca Śląskiego w Berlinie, jedną zaś na dworcu we Wrocławiu. Rezultat: 15 zabitych i 26 rannych Niemców.

Nie jest to rezultat jedyny. Ważniejszy od doraźnych skutków tych zamachów—jest ich wpływ psychologiczny. Społeczeństwo polskie w Kraju widzi, że odwet za jego mękę sięga już nietylko samych katów w Polsce ale że Polska Podziemna, pokonywując wszelkie trudności, wyciąga swe zbrojne ramię wgłąb Rzeszy, do serca stolicy wroga i tam protestuje wybuchami bomb przeciwko zbrodniom i bezprawiu okupantów.

ZŁOTY JUBILEUSZ DYWIZJONU ZIEMI MAZOWIECKIEJ

W formacjach lotnictwa polskiego w Wielkiej Brytanji jest specjalna jednostka, która nie szczyci się ani rekordową liczbą zestrzeleń ani poważnym tonażem bomb, zrzuconych na Niemcy. Rzadko się o niej mówi i pisze, choć pełni ona ciężką i niebezpieczną służbę: broni wybrzeży wielkiej Brytanji, patroluje morza i minuje wody nieprzyjacielskie.

Polskie załogi Wellingtonów chodzą na dalekie patrole aż po Zatokę Biskajską, polując na niemieckie okręty wojenne i mają ich wiele już na swoim rozkładzie, mimo, iż stale napotykają na niemieckie Junkersy, utrudniające im „polowanie". Raz Wellingtona polskiego osaczyło pięć Junkersów. Polacy walczyli zaciekle 58 minut ale mimo obrzymiej przewagi wroga — rozbili go i powrócili szczęśliwie do swej bazy. Łącznie dywizjon polski zestrzelił około czterdziestu maszyn niemieckich nad oce-

Kładzenie min na przybrzeżnych wodach nieprzyjaciela — to również śmiałe i niebezpieczne zadanie, gdyż praca odbywa się na bardzo małej wysokości, pod ogniem artylerji nadbrzeżnej i w zasięgu ognia okrętów niemieckich. W tych warunkach na zaszczytne podkreślenie zasługuje złoty jubileusz Dywizjonu Ziemi Mazowieckiej, który w grudniu 1943 r. położył dwutysięczną z kolei minę na szlakach niemieckiej żeglugi.

Z okazji tego „jubileuszu" marszałek lotnictwa brytyjskiego Harris, kierujący całością akcji bombardowania Niemiec, przesłał polskim lotnikom telegram. Tem milszy, że zredagowany po... polsku:

„Najserdeczniejsze gratulacje z okazji waszego osiągnięcia ostatniej nocy, jakiem jest położenie w dobry, rzetelny sposób dwutysięcznej miny. Jest to wielkiej wartości wkład dla wygrania wojny i dalszy dowód wspaniałego ducha współpracy, ożywiającego oba nasze lotnictwa. Jestem dumny, że mogę wami dowodzić."



Ochotniczki w Armji Polskiej na Wschodzie

CZY WIECIE ŻE...

...polscy marynarze z kontrtorpedowca „Ślązak" wydają na morzu w niezwykle trudnych warunkach wojennych własne czasopismo p t. „Pomyślnych wiatrów"? Wierzymy, że dla dzielnych marynarzy polskich wiatry okażą się jak najpomyślniejsze i pozwolą im zawinąć szczęśliwie do Gdyni w niedługim czasie.

...pod względem ilości jednostek bojowych lotnictwo polskie zajmuje czwarte miejsce wśród Aljantów po Stanach Zjednoczonych, Wielkiej Brytanji i Rosji.

...waga bomb, zrzuconych przez polskie bombowce na Niemcy, przekracza dziesięć procent tonażu bomb, zrzuconych przez lotnictwo brytyjskie.

...jeden z polskich statków handlowych przepłynął Atlantyk już pięćdziesiąt razy od początku wojny, przewożąc żywność i amunicję z Stanów Zjednoczonych do Wielkiej Brytanji.

...z Ameryki Południowej przybył do Anglji już dziewiętnasty transport ochotników do Polskich Sił Zbrojnych. Komendantem ostatniej grupy był znakomity polski sportowiec i zapaśnik Karol Nowina-Szczerbiński. Szczerbiński jest krewnym braci Cyganiewiczów. Na meczach zapaśniczych w Ameryce Północnej i Południowej występował jako Zbyszko Cyganiewicz Trzeci.

...w brytyjskiej służbie transportu powietrznego (Ferry Command) lata zgórą setka Polaków, w tem wielu pilotów Polskich Linji Lotniczych „LOT". Mają oni przeciętnie już po 2800 godzin lotu w tej wojnie.

...pierwszy ochotnik polski w Chile, który zaciągnął się do lotnictwa polskiego w Wielkiej Brytanji, został niedawno odznaczony krzyżem Virtuto Militari i trzykrotnym Krzyżem Walecznych.

...Polonia z Chile wysłała ostatnio dla jeńców polskich w Niemczech transport żywności, między innemi specjalny gatunek suszonego chleba, znanego w Chile pod nazwą „Polonia" oraz konserwy mięsne z napisem „konserwy typu polskiego".

...polska artylerja przeciwlotnicza, która do niedawna stała w Szkocji, broni obecnie Londynu, spłacając Niemcom swój dług za Warszawę.

NIEZWYKŁY ŚWIADEK

Córka ambasadora Stanów Zjednoczonych w Moskwie, Harrimana jeździła do Katynia, aby uczestniczyć jako świadek w ekshumacji zwłok oficerów polskich. Co to znaczy? Czy to znaczy, że Stany Zjednoczone podpisują się pod śledztwem przeprowadzonem przez Sowiety bez dostępu jakichkolwiek poważnych neutralnych świadków? Ale przecież panna Harriman nie jest osobą urzędową, jest tylko córką swego ojca i byłoby rzeczą zdumiewającą, gdyby Departament Stanu np. miał polegać na tem, co tej panience pokazano i powiedziano. Skoro tak jest, to nie mieszając się do spraw rodzinnych pp. Harrimanów, wyrażamy nasze zdumienie, że rodzice nie powstrzymali rezolutnego dziewczęcia od wycieczki, która w każdym człowieku o nienaruszonym smaku moralnym wzbudzić musi odruch sprzeciwu i która daje wrażenie, że ambasada amerykańska zaangażowała się w sprawę katyńską.

KUPUJCIE BONDY CZWARTEJ AMERYKAŃSKIEJ POŻYCZKI WOJENNEJ

DE GAULLE I SPRAWA POLSKA

W korespondencji z Algieru pomieszczonej w numerze „N. Y. Times" z dnia 30 stycznia mówi się, że gen. De Gaulle liczy na wzmocnienie sytuacji francuskiej wobec Anglji i Stanów Zjednoczonych na skutek konfliktu polsko-rosyjskiego i coraz wyraźniej zarysowującej się na przyszłość rozbieżności rosyjsko-anglosaskiej. Jeszcze jeden dowód kluczowego znaczenia sprawy polskiej dla całej konfiguracji politycznej na świecie, znaczenia, którego nigdy nie powinniśmy tracić z oczu.

MAŁE OZNAKI NIE BEZ ZNACZENIA

Doskonały publicysta francuski Henry de Kerillis, naczelny pisarz polityczny „Pour la Victoire", który do niedawna łatwo godził się ze wszystkiem co Sowiety z nami chciały zrobić, od pewnego czasu coraz wyraźniej akcentuje znaczenie sprawy polskiej. Pisząc ostatnio o sławnym dekalogu Lorda Vansittarta i krytykując go za nieskuteczność, wyraża p. de Kerillis zdziwienie, że nie mówi się dotąd o uszczupleniu Niemiec, mówi się natomiast o uszczupleniu Polski. Podkreśla również p. de Kerillis że przyznanie Prus Wschodnich Polsce i przesiedlenie stamtąd Niemców byłoby rzeczą sprawiedliwą i dobrym środkiem do opanowania Niemiec.

„QUO VADIS" ZNÓW FILMOWANE

„Quo Vadis" znów jest filmowane w Hollywood. Tyle się naurągano na tę powieść a po czterdziestu latach od jej ukazania się jeszcze nowe jej wydania wychodzą w Ameryce i jeszcze nowe z niej robi się filmy.

Tadeusz Zieliński w Warszawie, a teraz wielki bizantynista Henry Gregoire w Nowym Jorku obszernie dowiedli, że „Quo Vadis" jest obrazem epoki i ludzi niedościgłym. Warto byłoby więc przestać traktować „Quo Vadis", jak to wielu czyni, jako szacowny zabytek i wrócić mu należne honory swego rodzaju arcydzieła.

„POIL DE CAROTTE" — ROZSTRZELANY

Na parę lat przed wojną mały chłopiec Robert Lynen odniósł tryumf w Paryżu jako wykonawca tytułowej roli w filmie „Poil de Carotte" (Marchewka) według znanej powieści Jules Renarda. Idąc dalej po drodze zawodu aktorskiego, wyrósł Robert Lynen na dobrego artystę w teatrze i w filmie. Jak teraz wieści niosą, został rozstrzelany przez Niemców za ukrywanie spadochroniarzy angielskich.

Smutna ale piękna stronica historji teatru francuskiego, jakże różna od tej, którą zapisali w tej wojnie Sacha Guitry, Maurice Chevalier, Charles Trenet, nie mówiąc o Corinne Luchaire.

OTWARCIE STAŁEGO POLSKIEGO TEATRU W NOWYM YORKU

Polski Teatr Artystów, znany już Polonji i uchodźcom z paru premjer w New Yorku i licznych objazdów, postanowił stworzyć poraz pierwszy na terenie Nowego Yorku własny, stały teatr.

Polski Teatr Artystów będzie dawał premjery w połowie każdego miesiąca i grać będzie w każdy piątek i niedzielę.

Artyści Polscy uzyskali wreszcie możność grania w prawdziwym, pięknym i nowocześnie urządzonym teatrze. Teatr ten mieści się na 103-ciej ulicy przy Riverside Drive w New York City i nosi nazwę „The Master Theatre". Dogodny i szybki dojazd kolejką podziemną „Broadway 7th Ave. Express" (przystanek przy 103 ulicy) ułatwi miłośnikom polskiego teatru częste odwiedzanie tej nowej polskiej placówki kulturalnej.

Premjera i uroczyste otwarcie nowego teatru odbędzie się w piątek dnia 25 lutego. Jako pierwsza będzie wystawiona sztuka pt. „Niemiec" napisana przez świetnego polskiego dramaturga Antoniego Cwojdzińskiego.

ZGON ROTTEROWEJ

Zmarła w Warszawie znana aktorka Amelja Rotter-Jarnińska, która przez długie lata grała w teatrze Polskim, później w Narodowym role wielkich dam, dramatyczne i charakterystyczne, repertuar najbliższy wielkiej Luedowej. Mężem Rotterowej był zmarły doskonały aktor charakterystyczny, Stanisław Jarniński.

ARESZTOWANIE TRISTANA BERNARDA

Stary komedjopisarz i humorysta francuski Tristan Bernard, został aresztowany przez Gestapo. Kiedy na odgłos butów żołnierskich służąca pisarza wbiegła do jego pokoju, Tristan Bernard stał z rękami podniesionemi do góry a gestapowcy z rewolwerami skierowanymi w jego stronę robili rewizję w gabinecie. "Co pan robi?" zawołała oszalała z przestrachu kobieta. A na to Tristan Bernard z niezmąconym niczem humorem: "Widzisz przecież — współpracuję" (je collabore).

ŚCISŁY UMYSŁ

Dążąc do odmłodzenia kleru, biskup Oxfordu usiłował namówić 95-letniego proboszcza, by podał się do dymisji.

Urażony kapłan odpowiedział:

— Otrzymałem to probostwo 60 lat temu od poprzednika pańskiego poprzednika, gdy byłem jeszcze młodym człowiekiem. Nie było jednak wówczas mowy o tem, że obejmuję to stanowisko tylko chwilowo...

Biskup przestał nalegać.



Lotnik amerykański polskiego pochodzenia Dudek, dekorowany Krzyżem Walecznych przez inspektora Lotnictwa, płk. M. Iżyckiego.



Wielki przyjaciel Polski, b. ambasador Anthony Drexel-Biddle rozmawia w ambasadzie amerykańskiej w Warszawie z słynną śpiewaczką Grace Moore

DEBIUT, JAKICH MAŁO

Panna Anetka Strakaczówna, która przygotowuje się do karjery śpiewaczej i która bardzo wdzięcznie grała w naszym Teatrze Artystów, zadebiutowała w tych dniach na Broadwayu iście po amerykańsku tak, że napewno stoi przed nią otworem piękna karjera.

Panna Strakaczówna miała mały epizod w „Wiśniowym Sadzie" Czechowa, który idzie z Ewą La Galienne i Schildkrautem w National Theatre, Bogiem a prawdą, epizod nietylko mały ale niemy — poprostu przechodziła przez scenę z paczką w ręku. Jednocześnie zaś uczyła się roli Ani, jak to jest w zwyczaju w tutejszych teatrach „na wszelki wypadek". I otóż ten wypadek zdarzył się w zeszły poniedziałek. Wytrawna artystka, grająca Anię zemdlała na pięć minut przed pójściem kurtyny w górę i Anetka Strakaczówna, przebrana na gwałt w zadużą na nią suknię i niedopasowany kapelusz, jak to mówią, „jakgdyby nigdy nic" weszła na scenę, aby zagrać wielką i trudną rolę. I zagrała ją doskonale, z taką rutyną, pewnością siebie, ani na chwilę nie stremowana, nie wypadająca z roli, z taką poezją, urokiem mówiła tekst angielski tak wyraźnie i pięknie, że publiczność nie zawiadomiona o nagłej zmianie ani przez chwilę nie przypuszczała, że ma do czynienia z cudzoziemką, która pierwszy raz gra dużą rolę na obcej scenie.

Brawo panno Anetko! To się nazywa mieć polską odwagę i poczynać sobie, jak trzeba w Ameryce. Powodzenia!

WIENIAWA I OJCIEC LEDOCHOWSKI

Wieniawa, będąc ambasadorem w Rzymie, darzony był wielką przyjaźnią przez znakomitego i świętobliwego, dziś nieżyjącego generała Zakonu Jezuitów, Ojca Włodzimierza Ledóchowskiego.

Kiedyś udał się do niego w bardzo ważnej sprawie, której załatwienie wymagało wielkiej dyskrecji. Prosząc Ojca Ledóchowskiego o nią, powiedział Wieniawa „Załatwmy to poprostu między nami generałami".

LISTY DO REDAKCJI

Szanowny Panie Redaktorze!

Wzmianka: "Udana mistyfikacja" o propagandzie sowieckiej w Ameryce — przypominała mi nieudaną mistyfikację tejże propagandy w Polsce.

Było to w roku 34 czy 35. Akademja Sztuk Pięknych ogłosiła, że odbędzie się tam odczyt o sztuce sowieckiej jakiejś znanej działaczki bolszewickiej. Sala była nabita. Tak mało wiedzieliśmy o Rosji...

Pierwszą część odczytu, najdłuższą, prelegentka poświęciła omawianiu tej sztuki. Najwyższymi superlatywami określała wysoki jej poziom, oryginalność, rewolucyjne eksperymenty w szukaniu nowych form, wyrażających rewolucyjnego ducha młodej Rosji. Opowiadała o wielkiej akcji rozwoju sztuki dla szerokich mas głównie przez wysoki poziom artystyczny afiszów ulicznych. (O żadnych innych formach sztuki życia codziennego nie wspomniała).

Z niecierpliwością czekaliśmy na ilustracje, by zobaczyć potwierdzenie tych zachwytów. Gdy zdawało się prelegentce, że wytworzyła na sali atmosferę uznania — zaczęła pokazywać przeźrocza.

Sugestja nie pomogła. Nie wiedziała działaczka bolszewicka do kogo mówi; jaką twierdzą zdecydowanie sprecyzowanych wymagań w stosunku do sztuki jest Akademja Warszawska i wszyscy, którzy się koło niej skupiają. Przeźrocza były okropne. Poza rewolucyjnymi tematami, głównie walki z religją, — były to przykłady ordynarnego naturalizmu bez śladu wysiłku w jakimkolwiek kierunku twórczej interpretacji. Rodzaj popularny w najgorszym okresie tej sztuki z końca ubiegłego wieku. Mam w swych kolekcjach tutaj parę takich afiszów polskich, które pokazywałam w zestawieniu z nowymi, by uwypuklić olbrzymi postęp naszych wysiłków twórczych okresu niepodległości.

Słychać było na sali ciche śmiechy. Wyczekawszy na chwilową przerwę w wymowie prelegentki, Cieślewski (syn), siedzący w jednym z pierwszych rzędów, powiedział bardzo głośno, co o tem myśli, mniej więcej w tych słowach: „U nas takie afisze nietylko nie byłyby możliwe jako oficjalne afisze Polski, ale byłyby odrzucone na egzaminie wstępnym do tej Akademji, jako pozbawione kompletnie elementu oryginalnej twórczości." Na szczęście dla prelegentki odczyt miał się ku końcowi.

Z tonu proroka oznajmiającego maluczkim nieznane prawdy — zjechała do wymamrotania niezrozumiałych komentarzy.

Patrząc na nią, miałam wrażenie, że czuła się bardzo nieszczęśliwa, że jest w kraju w którym nie może powiedzieć: "Małczać i nie razsużdać".

Muszę dodać, że reprodukcje wojennych afiszów sowieckich, które widziałam niedawno, dowodzą, że nie zrobiono tam w tej dziedzinie żadnego postępu.

Łączę wyrazy prawdziwego poważania

Marja Werten.

POLISH WEEKLY
Editorial Office:
806 Lexington Avenue
New York City, 21
Tel. REgent 7-4168

Publisher:
„Tygodnik Polski"

Editor:
JAN LECHOŃ

Subscription:
Monthly 60 cents
Half yearly—$3.50 Yearly—$7.00